

A. JURKOWSKI

NA JAGODY

Zapowiedziano, że kto jeszcze w lipcu na kolonie ani nigdzie na wieś nie wyjedzie, niech przyjdzie w niedzielę do szkoły — pójdą na wycieczkę do lasu. Na jagody pójdą, więc każdy niech z sobą kobiałeczkę albo garnuszek przyniesie.

W niedzielę zebrała się na szkolnym dziedzińcu gromadka niewielka, bo dużo dzieci już wyjechało. Przyszła pani, taka jakaś wesoła w jasnej sukience, w słomkowym kapeluszu z trzecinowym koszykiem w ręku. Zaczęli się zaraz przeliczać, ilu ich jest i ustawiać w pary. Pod sam koniec, gdy już mieli wyruszać, przyszedł Stanisław (ten czy wakacje czy nie wakacje w szkole zawsze siedział).

— Może będziecie i mnie z sobą wzięli? — zapytał.

Trochę się to dziwne dzieciom wydało, że Stanisław, siwy woźny Stanisław wybiera się z nimi na jagody. Ale Stanisław widocznie wyczytał ich myśli bo zaśmiał się:

— Cóż to myślicie, że ja tylko zamiatać i dzwonić potrafię? Nie bójcie się, jagód więcej w swoim życiu nazbierałem niż wy wszyscy razem ich zjedlicie.

Przyniósł koszyk, taki duży koszyk jak na jarzyny i stanął grzecznie w szeregu.

— Pani nauczycielko nie mam pary — zażartował. Wszyscy byli tego dnia weseli.

Pomaszerowali na dworzec, pani kupiła bilety i wsiadli do wagonu. Tego się nikt nie spodziewał. Przecież to najprawdziwsza wycieczka. Nawet pociągiem jadą.

— A autem też będziemy jechali?

— Nie, dalej już pójdziemy piechotą — odpowiedziała pani. — Dzieci, nie rozbiegać się po wagonie. Na trzeciej stacji wysiadamy a tam pociąg stoi tylko minutę. Uważajcie, żeby ktoś nie został.

Naturalnie, że nie obeszło się bez przegody, bo Halina się spóźniła. Pociąg już ruszył a ta jeszcze stoi na schodkach i krzyczy w niebogłosey. Trzeba machać rękami, wołać konduktora, naczelnika stacji. Straszny gwałt się zrobił. No ale pociąg zatrzymali i Halina wysiadła. Tylko bardzo się wstydziła, bo wszyscy na nią patrzyli. Nawet ci, co jechali, dalej, wysunęli głowy przez okna.

Stacyjka była mała z białego kamienia zbudowana a zaraz za nią rozciął się wielki ciemno-zielony las.

Z początku nie było nic. To znaczy było dużo rzeczy i drzewa i kwiaty i paprocie, ale nie było jagód. Liści poziomkowych pełno a poziomki ani jednej. Dopiero gdy weszli w głąb, zaczęły się pokazywać pierwsze czarne jagody. Stefa zaraz przysiadła na ziemi i zaczęła je zbierać, ale malutko tego było, zaledwie

kilka jagódek po dnie garnuszka się kołatało.

— Widać, że jagód nie zbierałaś nigdy — powiedział Stanisław. — Tu się dopiero zaczynają. Poczekaj, pójdziemy dalej, tam ich będzie tyle, że stąpnąć nie będziesz mogła.

Stanisław miał rację. Im dalej szli w las tym więcej było jagodowych krzaków, tym więcej i większe jagody. Tu już się zatrzymali i wszyscy od razu przypadli do ziemi. Słychać było tylko brzęk jagód o dna garnuszków i od czasu do czasu okrzyki:

— Och, jakie tu piękne!

— Och, ile tutaj!



Marysia ciągle miała pusty koszyczek, bo co trochę uzbierała to zjadła. Usmarowała sobie przy tym koniec nosa i wyglądała tak pociesznie, że wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Nic nie nazbierasz — zwrócił jej uwagę Staszek. — Rób tak jak ja: jedną jagodę do garnka a jedną do ust.

— Oj, poziomki, poziomki! — krzyknęła Wanda.

Ale okazało się, że tam było tylko parę poziomek więc je zerwała razem z łodyżkami, na bukietik dla mamy. Te poziomki zaraz opadły i pogubiły się, ale Wanda nie traciła nadziei, że znajdzie jeszcze.

Pierwsza miała pełny kubeczek Marysia. Postawiła go na polance, tam gdzie złożyli wszystkie rzeczy i zrobiła sobie z poproci koszyczek.

Słońce już stało wysoko i przez gęstwinę gałęzi padały złoto-zielone plamy. W lesie było gorąco i duszno, pachniała żywica, jakieś zioła i kwiaty, tak mocno aż się spać chciało.

Usiedli wszyscy na polanie. Przyszedł już i Stanisław, który cały czas sam gdzieś po lesie brodził. Wszyscy mieli twarze umorusane i wyglądali jak Murzyni. A ręce! Nawet nogi całe były w granatowych plamach.

— Jaka szkoda, że w zimie nie ma jagód — westchnęła Stefa.

— Świeżych nie ma, ale można z tych coś na zimę przygotować — powiedziała pani.

— Ja zrobię sok — wyrwała się Halina. — Ja wiem jak się to robi. Trzeba nasypać jagód do słoika, przysypać cukrem i postawić na słońcu. Jak się tak wystoją, wystoją, to potem cedzi się sok i gotuje.

— Ale cukier jest drogi — rzeczowo zwróciła uwagę Marysia. — I skąd go naraz tyle wziąć.

— To ty ususz jagody — poradził jej Staszek. — Moja mama zawsze tak robił. Suszy jagody a potem w zimie gotuje je, doda trochę cukru i doskonały kompot.

— Z czarnych jagód robi się lekarstwo na żołądek — wtrąciła Wanda.

— A maliny też suszą, prawda proszę pani?

— Suszą. Z malin robi się doskonałą herbatę i lekarstwo przeciw przeziębieniu.

— A proszę pani, czy na maliny pójdziemy?

— Pójdziemy, ale trochę później. Teraz maliny dopiero zaczynają dojrzewać.

— A czy to prawda, że jagody można zamrażać?

— Naturalnie. Ubiegłej zimy były już w Warszawie mrożone jagody. Na Ziemiach Odzyskanych mamy ich bardzo dużo. Tam też są specjalne przetwórnice, gdzie robią marmolady, konfektury, soki i mrożone jagody. — Pani nagle spojrzała na zegarek.

— Już piąta. Musimy wracać, bo o szóstej mamy pociąg.

Nikomiu nie chciało się ruszać z miejsca. Jeszcze wracając przysiadali przy kępkach jagód i zrywali je pospiesznie całymi garściami. Tak przyjemnie było w lesie. Chciałoby się tu być cały dzień aż do późnego wieczora.

— Czy pójdziemy jeszcze raz?

— Pójdziemy. Jeszcze nam jedna niedziela pozostała. Bo w sierpniu będziecie już na koloniach.

Koło szkoły pożegnali się wszyscy. A Stanisław tym, którzy nie nazbierali pełnych koszyczków, albo którym się jagody po drodze rozsypały, dosypał ze swojego kosza po garści.

— Z pustymi rękami z jagód się nie wraca. Słuchajcie mnie a wszystkiego was nauczę. I grzyby zbierać też, ale to już w innej

Ogródek Marysi

Jeszcze wczesną wiosną Marysia sko-pała przed domem ogródek. Maleńki to był ogródek, bo ziemi tam było nie wiele, ale Marysia powiedziała, że choćby gromy i pioruny były musi mieć swoje własne jarzyny i kwiatki. Gromy i pioruny wprawdzie nie były, ale Marysia postawiła na swoim. A roboty przy tym miała!

Najwięcej kłopotu było z grządkami. Ciągłe wychodziły krzywo, jakby myszy brzęgi powygrzały. A w sąsiedztwie mieszkał ogrodnik stary pan Kolasiński. Zły, że strach. Nikogo z dzieci do swego ogrodu nie puszczal. Ale przez płot widać było jak tam ładnie i czystiutko.

„Pójdę — myśli Marysia — podpatrzę jak on to robi“.

Przytknęła oko do szpary w płocie — nie nie widzi. Jakies krzaki i gałęzie zasłaniają.

„Może z góry lepiej będzie?“ — i wy-lazła na płot.

Wszystko byloby dobrze gdyby nagle na końcu ścieżki nie pokazał się pan Ko-lasiński z łopatą w ręku. Marysia czy przestraszyła się, czy co, dość że straciła równowagę i buch na ziemię, jak gruszka z drzewa. Podarła sukienkę, rozbiła kolano. A pan Kolasiński mówi:

— Dobrze ci tak, nie leż do cudzego. Ale się trochę zaniepokoił. Podszedł bliżej i pyta:

— Bardzo się potłukła? Widzisz, jesz-cze nic nie wyrosło, a wy już się tu pcha-cie. Jak będzie co, to sam dam, ale przez płot lazić nie wolno.

Tego Marysia już wytrzymać nie mogła. Kolasiński podejrzewał ją, że przyszła tu kraść. Chciała coś odpowiedzieć, wytlu-maczyć, ale się tylko rozbeczała. A pla-kała tak żałośnie, tak tarła brudnymi pięściami oczy, że stary ogrodnik zmiękł.

— No widzisz, trzeba ci było? Nógę rozbiłaś?

— Ja chciałam tylko... po... popatrzeć... I Marysia pochlipując i ciągnąc nosem opowiedziała mu o swoich grządkowych kłopotach.

Kolasiński przysiadł, skreślił papierosa i powiedział:

- Hm...
- Potem zapalił i znowu powiedział:
- Hm, to ty ogród masz. A gdzie?
- Przed naszym domem.
- Pod dwudziestym piątym?
- Tak.
- Toż tam ziemia marna, nawozu du-żo trzeba.

— Ja posypałam już popiołem — po-wiedziała Marysia.

— Popiołem? Widzicie ją jaki spry-ciarz. A skądś ty popiół wzięła?

— Od mamusi z pieca.

— Z pieca? A mamusia czym pali?

— Wę... węglem — zawahała się Ma-rysia.

— Głuptasie — roześmiał się Kolasiń-ski — taki popiół to ci tylko ogród za-smieci. Drzewny jest potrzebny, roz-umiesz? Ze spalonego drzewa. Czekał tu na mnie.

Poszedł do domu a po chwili wrócił, niosąc w pudełku jakiś proszek

— Masz weź sobie, to jest sztuczny na-wóz. Różnie ziemię nawozimy. Najlepszy jest nawóz naturalny — obornik, ale skąd go tyle wziąć i do tego jeszcze w mieście? A to jest sztuczny w fabryce zrobiony, weź go sobie.

Od tego zaczęła się przyjaźń. Kolasiński nauczył Marysię jak ziemię uprawiać, po-kazał jej jak robić grządki, jak sznurkiem wyznaczać linię, żeby były równe, potem dał nasiona i flance.

Zazielenił się Marysin ogródek. Najpierw wyszły z ziemi maleńkie w kształcie ser-duszek listeczki rzodkiewki, potem wykieł-kował groszek, a potem już szło jedno za drugim i pierzasta marchewka i koperek i drobnolistna maciejka pod oknami. Tylko że Marysia była bardzo niecierpliwa, chcia-ło jej się, żeby jak najprędzej już wszystko wyrosło. Ledwie rzodkiewka od ziemi tro-chę odrosła już ją Marysia ciągnie. Jaka też ona w środku? Czy duża? A tam tylko różowo - biała niteczka i nic więcej. To samo było z marchewką. Zdaje się, że już wysoka, że już ładna — wyrwać, a mar-chewki ani śladu. Zółci się tylko cieniutki korzonek.

Było zmartwienia z tym ogródkiem dużo. Upał na przykład straszny, słońce praży aż ziemia pęka. Łapie Marysia koneweczkę i dalej podlewać, a tu Kolasiński zza płotu krzyczy:

— Ty, co robisz? Ogród chcesz zmar-nować?

— Ziemia wyschła, więdną wszystko.

— To trzeba raniutko wstać i podlewać póki jeszcze upału nje ma, albo wieczorem. W południe nie wolno. To śmierć dla roślin.

A rano wstawać nie bardzo się chce. Nie przypuszczała Marysia nigdy, że tyle bę-dzie miała roboty. Ale przyjemnie było. Grządki zieloniutkie, bujnie rośnie na nich wszystko. A Kolasiński ciągle niezadowo-lony.

— Czego to u ciebie tak gęsto na tych grządkach wszystko rośnie?

— To dobrze.

— To bardzo źle. Roślina też miejsca potrzebuje, żeby rosnać i rozwijać się. Musisz poprzerzywać. I zdaje mi się, że tam się i chwast zaplenił. Przyjrzyj się dobrze. Co jarzynka, co kwiat, to zostaw a co

zielsko to precz wyrwij. Rozrasta to się bujnie i wszystko zagłuszy.

Siedzi Marysia od rana do wieczora w swoim ogródku i co jedna robota się skoń-czy, to druga się zaczyna. Ani się obej-rzała kiedy fasolka wyrosła tak, że tycz-ki trzeba było wstawiać, to znów na ka-puście jakieś gąsienice się pokazały wielkie, zielone, paskudne. A żarłoczne takie, że po paru dniach całe liutki kapusty były jak koronka.

Przy tej kapuście to już mama pomo-gła. Do blaszanej puszki strącały patycz-kami wielkie tłuste liszki. Nie było to przy-jemne. Brrr... Ale co robić? Za to coraz częściej Marysia zaczęła mamusi robić prezenty. To rzodkiewki świeżutkiej na ta-lerzyku przyniesie, to młodej marchewki pęczek, to bratków buk'ecik zerwie i na stole postawi. I w domu przyjemnie i przed domem jest gdzie teraz odpocząć. A ta ma-ciejka tak pachnie wieczorami, jak w lesie.

Nawet ojciec, który późno do domu wra-cał i rzadko z Marysią rozmawiał, teraz chętnie siadał na ławeczce przed oknami i patrzył jak córka pracuje. I Kolasiński zaczął do nich przychodzić. Taki odludek i mruk a teraz co wieczór prawie u Mary-sinych rodziców bywał.

— Na przyszły rok — powiedziała kiedyś matka — trzeba się będzie starać o ogró-dek działkowy. Jeżeli dziewczyna fak tę robotę lubi, to niech tam sobie sieje i sadi co chce. I pożytek z tego będzie i dla niej przyjemność.

A ojciec w zamyśleniu powiedział:

— Ja myślę, że ją trzeba będzie do ja-kiejś szkoły ogrodniczej posłać. Co Mary-siu? Chcesz?

— Są uczeni ogrodnicy — wtrącił Ko-lasiński — którzy rozmaite gatunki roślin hodują, takie nawet jakich jeszcze nigdy nie było. Tacy nawet potrafią na północy południowe rośliny zasadzić i rosnąć im. Uczą się tego i wiedzą czego jakiej trawce potrzeba. Ja to pisanego słowa nie znalazem. Sam do wszystkiego doszedłem. Ale ona teraz uczyć się może, nikt jej nie zabroni. Może będzie sławnym jakimś ogrodnikiem a wtedy i o mnie powiedzą: „Ten stary Ko-lasiński, pierwszy ją uczył jak fasolę sa-dzić“. Nie wyprzesz się mnie Marysiu, jak będziesz sławna? Co?

A Marysia tylko oczy rozbiły i myślała jaki to ona kiedyś piękny ogród będzie miała i jakie tam śliczne rośliny wyhoduje.

Zofia Kwocińska





Słońce było Słonko kiedyś, kiedyś jak było małe. Nie miało ani mamusi, ani tatusia. Miało tylko starą, dobrą nianię. Nazywała się Szara Godzina.

Co dzień rano, jeszcze Słonko śpi sobie w najlepsze w łóżeczku, a niania już wstaje, kąpiel z rosy szykuje, mgły rozwiesza, żeby się Słonko po kąpeli czym wytrzeć miało. Wieczorem znów mięciutką pościel z różowych obłoczków sporządza, a później cichym, równym głosem bajki mu do snu opowiada.

Dziś Słonko już wyrosło, jest wielkie, wspaniałe i potężne. Kocha po staremu swoją dobrą, znaną nianię, ale niania już jest teraz stara, nogi ją bolą, nadążyć za pieśczochem swoim nie może, tylko oczyma za nią wodzi, kiedy na niebie codzienną swą robotę zaczyna.

A kiedy wieczór przyjdzie i zmordowane Słonko na bajkę nawet nie czeka, tylko od razu zasypia, idzie niania w świat i, zamiast Słonku dzieciom cichą, szarą godziną bajki opowiada.

Kiedyś opowiedziała i mnie. Pamiętam cichy zimowy wieczór. Szara Godzina siada na zwykłym swym miejscu, w wielkim fotelu, przy kominku, owija się w ciepły szary szal, kładzie na nos wielkie szare okulary i zaczyna swą przemiłą gawędę.

— Znudziło się raz Słonku — powiada kochana babuleńka, spoglądając ku mnie poprzez okulary swymi łagodnymi, dobrymi oczyma, — znudziło się Słonku, bo zawsze samo i samo na niebie bawić się musiało, przychodzi więc do mnie, za fartuch tarmosi i prosi gwałtem, żeby mu Księżyc do zabawy sprowadzić. Jakże tu Księżyc sprowadzić, kiedy on biedak całą noc stró-

zował, śpi teraz, nos w poduszkę wsadził i chrapie tak, że aż się chmury ploszą. Ledwie mu wytłumaczyła, żeby się trochę z zabawą zatrzymał. Koło południa pokazał się wreszcie Księżyc, taki zaspany, że mu aż oczy zapuchły. Nie wielką tam miał ochotę do zabawy, ale to złote maleństwo takie było przymilne i wdzięczne, że czy kto chciał, czy nie chciał, musiał to robić, co ono prosiło.

Zabawa tedy idzie w najlepsze: była ciuciubabka, było i w chowanego, choć dla Słonka o schowanie trudno, bo zewsząd promyczki jego przedzierają, bawili się i w konie i w berka, wreszcie zachciało się urwisom kochanym gry w piłkę.

— Moja nianiu kochana, prosimy o piłkę. Piłkę! Koniecznie piłkę!

— Skądże ja wam piłkę dostanę? Mieścież rozum chłopaki kochane.

Znalazła się tam przecież gdzieś w kącie między gwiazdkami złota kula. Skąd się tam wzięła i komu do czego służyła, nie wiem, dość że była.

Ledwie się gra zaczęła, Księżyc, który nigdy bardzo zgrabnie się nie ruszał, jak nie machnie kulą... Słonku prosto w czoło.

— Aż! bolil bolil! jak strasznie bolil!

Od słonkowego czoła wskutek uderzenia odprysnął spory odlamek. Słonko aż przygasało z bólu. Skuliło się biedactwo w dzieśnicioro, za ranę się trzyma i zawodzi. Niania ratuje, jak umie, lekarstw różnych dobywa: i skowronkowego śpiewania na uśmierzanie bólu i zapachu konwalii leśnej na okłady, i mgły miękkiej wiślanej na owinięcie rany, i polnego pachnącego ziołami wiatru na lez osuszenie. Niani przy tej okazji tak oczy łzami zachodziły, że na

ziemi od deszczów wszystkie rzeki wzebrały.

Musiąo biedne, małe Słonko iść do łóżka na długie, długie tygodnie, nim mu się ta rana zablizniła.

A ów odlamek, co od słonkowego czoła odprysnął, poleciał hen, daleko aż na ziemię i tu zapadł gdzieś w ciemną Świętokrzyską puszcę. Zamknęły się nad nim gałęzie stuletnich buków i jodeł tak, że choć dzień stał na świetle jasny, czarno tam było i cienino, jak w piwnicy. Upadł na miękie posłanie z mchów. Nachyliły się nad nim długie, ciemne, skrzydła paproci.

— Co to? Kto to? — pytały zdumione, olśnione blaskiem, jaki bił z leżącej na mchu okruszyny.

— Skarb! Skarb! Skarb! — szeptały zachwycone drzewa, powtarzając jedno drugiemu radosną nowinę. Zakolysał się bór, zaszumiał radośnie.

Pilnuje stary bór swego skarbu, nie pokazuje go nikomu. Oddał go paproci na przechowanie, a ta schowała go głęboko, głęboko pod korzenie, żeby niczyje oczy słonkowej okruszyny nie wypatrzyły. I tylko raz w rok, w noc świętojańską, kiedy to Słonko do najdłuższej podróży dziennej po niebie się szykuje, wychodzi z ukrycia skarb leśny i, siadając na gałązkach paproci, dziwne swe dzieje słoneczne zasłuchanemu borowi w wielkiej tajemnicy opowiada.

Zdarzyło się raz, że zobaczył to siedzący na gałęzi puhacz; opowiedział wszystko sowie, sowa nietoperzowi, nietoperz myszce, myszka staremu zegarowi, a zegar wygadał się ze wszystkiego ludziom i stąd urosła baśń o cudownym kwiecie paproci.

Kazimierz Konarski

BENEDIKT HERTZ KRZYSIA I JANEK na wakacjach

Zmiarkowałem, że żarty sobie stroi i ze mnie i z Bawolego Rogu; a tu występuje Romek i wręcz oświadcza, że w tamtę zarośla nie pójdzie, choćby mu nie tylko król „baranich“ rogów, ale nawet sam soltys przykazał.

— Ja wiem — mówi — że tam straszy, a stara Wawrzkowa cudeńka rozpowiada, bo ona wie wszystko.

— Cóż ona wie?

— Wie, że sam Boruta pilnuje na tamtej stronie ognistej korony i jak kogo złapie, to mu nogi pourywa.

— A właśnie! A tak! — potwierdzają mi chłopcy. — Jak król Bawolich Rogów chce z Borutą wojować, to niech sam idzie.

Gdy zaraportowałem o tym wodzowi, strasznie się rozgniewał.

— Tchórze ta cała twoja armia! — krzyknął — rozpędzę ją na cztery wiatry. Głupcy! Boruty się boją. Czy widział kto

kiedy Borutę?... Mnie mama powiedziała, że żadnego Boruty nie ma i nie było. Słuchaj, Kłó Szakala i wielki hetmanie koronny, sami we dwóch idziemy.

— Uuu! niedobrze — pomyślałem. — Może ty masz słusność, że żadnego Boruty nie ma, ale ja z nim wolę nie zadziierać.

Zacząłem się wykręcać, że szabla mi się stępiła, że kapiszony do pistoletu już wyszły, że to, że owo...

— Eh! — przerwał mi Janek... przepraszam: Róg Bawoli — widzę, że i ty masz pietra. Kiedy tak — sam idę.

Wstyd mi się zrobiło. Albo jest się wielkim hetmanem koronnym, albo ciurą. Przyasałem szablę, wziąłem z kuchni tasak (bo indiańskiego tomahawku pod ręką nie miałem) i stanąłem przed jego wyśokością.

— Jestem gotów — rzekłem salutując. Przewiesił flower przez plecy, na głowę włożył wspaniałą koronę (ja, oczywiście, także byłem w pełnym uniformie Szakalego Kłó) i ruszyliśmy w drogę. Krzysia chciała nam towarzyszyć, aleśmy jej z całą powagą oświadczyli, że wyprawa jest zbyt niebezpieczna nawet dla takiej, jak ona, czarownicy.

Idziemy.

Wieczór upalny... ciemno... Przeszliśmy wierzchołek naszej góry i bezwiednie przeżegnał się, bo nie tylko ja, ale zdaje się i Róg Bawoli strach poczuł. Zarośla gęstnieją. Zsuwamy się w dół: on pierwszy, ja za nim. Lian podzwrotnikowych jakoś nie ma, więc tasak niepotrzebny tylko mi zawadza. Raptem wódz stanął i aż się cofnął. W dali coś błysnęło. Przerażony, wytrzeszczyłem oczy. Korona wyraźnie ognista korona. Płonęła tajemniczym, niebieskawym płomieniem.

— Wwwwra-ra-cccami! — szepnąłem dygocąc. I puściłem się pędem z powrotem. Nie oglądałem się za siebie. Słyszałem tylko tuż za plecami zziąjany oddech wodza Bawolich Rogów.

III.

Tak więc wyprawa skończyła się fatalnie — sromotną naszą ucieczką. Przeraził nas widok leżącej w trawie korony ognistej.

— A co, nie mówiłem — triumfował Romek. — Mnie Wawrzkowa powiedziała, że tej korony Boruta broni. Już by on wam dał, gdybyście spróbowali ją podnieść.

(Dalszy ciąg nastąpi)

W jagodowy czas

W jagodowy czas

szumiał stary las

— Chodźcie, weźcie dzban,

to wam jagód dam

W jagodowy czas.

wesoły był las,

gdzie dziupla, gdzie krzak,

wszędzie fiukał ptak.

W jagodowy czas

leśne piosnki znasz.

Szły piosenki przez mchy:

„Piękny lesie ty!”

W jagodowy czas

szło się rankiem w las,

Daleko się szło

gdzie jagódki są.

A po lesie gdzieś

błądzi nasza pieśń

przez zrudziałe mchy:

piękny lesie ty...

Lucyna Krzemieniecka



KĄCIK ROZRYWKOWY

ZAGADKI

- Mieszka zwykle w lesie,
a ujrysz go z dali.
gdy się na jesieni
purpurą rozpali
- Rośnie wiotka, słaba
przy moim okienku;
listki jej dygocą
w bezustannym lęku.
- Nie od wczoraj, nie od dzisiaj
wielka z niej strofnisza.
Pośród liści fali
lśnią pęki korali.
- Wysmukłą swą kibić
w szatce białej mieści,
rozwiązane jej włosy
wiatr łagodnie pieści.
- Pień jej smukły i wysoki
sięga niemal pod obłoki
jej korona się zieleni
czy to w lecie, czy w jesieni.
- Choć dziewczynką
nie jest wcale
lubi stroić
się w korale.
Gdy jest tylko
w złym humorze
wola: — wnet korale włoży!

MĘCZYGŁOWKA

Znajdź przeciwieństwa do podanych niżej wyrazów i wpisz je na miejsce krzyżyków i kropek. Litery w punktach, oznaczonych krzyżykami, odczytane z góry na dół — dadzą rozwiązanie.

- biały
- bogaty
- krzywy
- prędki
- słaby
- jasny
- brudny

LAMIGŁOWKA

Z sylab podanych poniżej ułóżcie pięć wyrazów i wpiszcie je poziomo w kratki prostokątu. Litery w kratkach, oznaczonych cyframi — odczytane według kolejności tychże cyfr — dadzą rozwiązanie.

6	1	
7	2	
8	3	
9	4	
10	5	

Znaczenie wyrazów:

- Zwierzę z rodziny kotów.
- Inaczej nazwa własna człowieka, lub zwierzęcia.
- Odcinek podróży.
- Naczynie krwionośne.
- Składnik powietrza.

Sylaby: a, bo, e, i, ia, mię, tap, wo, zot, ży.

Odpowiedzi Redakcji

„Foto Br ys“ — Lublin. Piszesz, że odgadłeś zagadkę, ale nie zaznaczasz którą i nie przysłałeś rozwiązania. Naturalnie, że możesz przysyłać do nas zagadki własnego układu. Prosimy napisz do nas obszerniejszy list i podpisz się, bo nie wiemy nawet jak się nazywasz.

Zygmunt Witkowski — Kraków. Widocznie źle adresowałeś poprzednie listy, bo ani jeden z nich nie doszedł. Adres nasz brzmi: — Warszawa, ul. Smolna 12, Redakcja — „Świat Dzieci”. Bardzo ładnie opisałeś Wawel i Planty. Do druku to jednak jeszcze się nie nadaje. Postaraj się napisać staranniej i prościej. — Może nam przysłesz jakieś fotografie z Krakowa? — Chętnie je umieścimy.

Wanda Ossowska — Lublin. Więc twoja sroczka umie już mówić — i powtarza twoje imię? — Piszesz, że jest bardzo wesoła i dobrze czuje się w klatce. — A może lepiej jednak wypuść ją na swobodę? — Jeżeli się przywiązała to i tak będzie przylatywała do Ciebie, a w klatce przecież męczy się, chociaż Tobie wydaje się, że jest wesoła. — Nie może ani pobiegać swobodnie, ani polatać. Pomyśl nad tym i napisz jak postąpiłaś.

Stasia Antolkówna — Warszawa. — Pytasz, „jak głuchoniemi słyszą” — Wcale nie słyszą. Odczytują to co mówimy z ruchu naszych warg. — Zauważyłaś, że inaczej się usta układają, gdy wymawiamy „a”, a inaczej, gdy wymawiamy „e” — inaczej przy „b” a inaczej przy „s”. Głuchoniemi zwracają na to uwagę bardziej niż my i dlatego rozumieją co mówimy, choć nie słyszą.

(Na pozostałe listy naszych czytelników odpiszemy w następnym numerze).